

I Zamojskie Dyktando

FINAL

Nieoczekiwana przygoda w puszczy

Było wpół do piątej rano. Poranna mżawka niepostrzeżenie przeszła, nie drażąc choćby króciutkiej strużki w grząskiej ziemi. Wczesnowiosenne zorze poróżowiły bladoniebieski horyzont, a rześkie powietrze równocześnie krzepiło i rozprężało. Eustachy Hawryluk, nieznoszący [nie znoszący] hochsztaplerstw buchalter z trzydziestosześcioletnim stażem w MSZ-ecie, jechał wysłużonym gruchotem sprzed ćwierćwiecza wzdłuż brzegu Biebrzy, by dotrzeć do wieży strzelniczej w Puszczy Białowieskiej. Zmitrężony harówką i wielkomięskim harmiderem [harmidrem], leczył chandrę wśród pól, pagórków, równin. Podążając bezdrożami, przypomniał sobie, jak rokrocznie [,] z wystrzępionym skórzanym sakwojażem [,] przemierzał Polskę wzdłuż i wszerz [,] od Pomorza po Żywiecczyznę. Przepłynął żaglówką kanał La Manche, marzył o Rio de Janeiro. Na co dzień był nad wyraz pracowity. Codwutygodniowy instruktaż zapewnił mu wkrótce fotel wiceprezesa Warszawskiej Izby Handlowo-Przemysłowej i członkostwo w zarządzie Horteksu. Świeżo upieczony biznesmen działał ponadto w post-Solidarności. W wolnych chwilach spraszał kolegów i rzępolił co nieco na nienastrojonych skrzypcach. Znużone towarzystwo traktowało jego recitale pół żartem, pół serio, chichocząc po kątach lub tańcząc cza-czę [cha-chę].

Widoczna z za szyb staromodnego wehikułu [,] nieujarzmiona przyroda koła skołatane nerwy pomimo gromadzących się na niebie groźnych cumulonimbusów. Nie wiadomo kiedy Hawryluk dojechał na miejsce. Zanurzony w chaszczach [,] z kupioną za półdarmo dubeltówką [,] od dwu i pół godziny samo chcąc, czatował na swoją ofiarę. Znienacka czmychnęła mu przed oczami rozjątrzona tchórzofretka, ten jednak czyhał na grubego zwierza, nawet upstrzony kolorami bażant nie zwrócił jego uwagi. Mężczyzna lustrował obrzeże kniei niby-systematycznie. W tym czasie nad jego głową przeleciała chmara wróbli, obok stóp przeszły: horda mrówek, co niemiara chrząszczy, kilka jeży, a on nasłuchiwał się rechotu żab i nieomal nadepnął na głowę żmii. Mimo to wciąż czekał na watahę wilków, drapieżnego żbika lub przynajmniej pożywnego cietrzewia. Orzeźwiający wiaterek muskał twarz Eustachego. Wokół polany unosiła się odurzająco słodka woń czeremchy. Pobudka o brzasku i uciążliwa podróż zmorzyły myśliwego. Wtem dały się słyszeć: trzask, chrzęst, głośnie łubu-du dobiegające [,] zdawałoby się [,] zewsząd. Rychło w czas nasz bohater spostrzegł hiperolbrzymiego żubra. Rozhukany zwierz [,] niczym północnoafrykański nosorożec [,] rzucił ku niemu złowrogie spojrzenie. Wpółżywy Eustachy w okamgnieniu chwycił dubeltówkę, krzyknął: „Dlaboga! Ratunku!” i bez wahania wziął nogi za pas, zahaczając o żerdzie z bobrowych żeremi i odmawiając „Pod Twoją obronę”. Naraz poczuł niepohamowany żal. Już wyobrażał sobie dobiegający z różna zapach smażonych pierożków z dziczyzną, supersmacznych nówek w żelatynie, jajeczniczy z przepiórczych jaj. Może po tej przygodzie z happy endem rad nierad przerzuci się na oglądanie quizów [kwizów] i zgaduj-zgaduli, huśtając się w hamaku z coca-colą [koka-kolą] w ręku.